

TYDZIEŃ POLSKI

TREŚĆ: Dobre gospodarstwo. — Zz: Kościół i nacjonalizm. — *Konstanty Srokowski*: Centralny problem naszej epoki. — *Er Zet*: Ca ira. — *Teodor Umiński*: Język czy gwara? — Europa i Ameryka. — *J. Życki*: Z życia młodzieży. — Dział gospodarczo-kolejowy: Do kolejarzy polskich. — Kronika.

DOBRE GOSPODARSTWO.

Są pewne elementarne prawdy, których dowodzić nie potrzeba. Dość je wygłosić, by przekonać. Nazywa się je komunalami lub truizmami, a słucha się niechętnie, gdyż są bardzo nudne. Trzeba jednak, by co pewien czas ktoś się poświęcił i nudził niemi słuchaczy i czytelników, niezmiernie łatwo bowiem ogół zapomina o nich i postępując tak, jakby o nich nie wiedział, dochodzi do faktycznych absurdów.

Taką prawdą — naprzykład — jest, że tak samo, jak kolej istnieje dla przewozu towarów i ludzi, a nie dla kolejarzy, medycyna dla chorych, a nie dla medyków, szkoły dla dzieci i młodzieży — nie dla nauczycieli, — tak samo rząd istnieje dla kraju, nie dla wygody i przyjemności partji politycznych. Nie jest tedy zasadniczą kwestją w polityce, kto, w jakiej mierze i w jakiej proporcji ma prawo rządzić, lecz jak kraj ma być rządzony, dla dobra swych obywateli i ku ich zadowoleniu. Prawo udziału w rządzie, kontrolowania i krytykowania go jawnie i publicznie, — jest dla narodu tylko środkiem do tego najwyższego celu. Przez sejm, zgromadzenia publiczne i prasę informuje on rząd o swych życzeniach, potrzebach, o swem zadowoleniu lub niezadowoleniu, o błędach lub naduzyciach przez władzę popełnianych.

Ponieważ ogół nie dzieli się bez reszty na partje polityczne, np. u nas: na prawicę, lewicę i mniejszości narodowe — przeto rząd we wszystkich swych zamierzeniach i postanowieniach winien mieć na oku samą ludność — a nie tylko partje przemawiające w jej imieniu. Winien po za klubami sejmowymi ogarnąć kraj, jego potrzeby, panujące w nim stosunki, słowem, fakty — nie programy. Programy bowiem, jak nam dobrze wiadomo, służą zwykle w polityce do zdobywania mandatów, zaś mandaty do sięgania po władzę, i tu — jako u najdalszej mety — kończą się zabiegi przeciętnych polityków. A przecież ujęcie władzy w rękę to jest dopiero początek właściwej polityki; treścią jej

istotną — rządzić krajem, a więc znowu stwarzanie faktów realnych, których ogólna suma składa się na dobro publiczne. Zatem polityka prowadzi od faktów do faktów: od dokładnej znajomości tego, co jest, co się dzieje, do urzeczywistnienia tego, co ma być, aby działało się lepiej.

Powiedziano wyżej, że ogół obywateli nie dzieli się bez reszty na partje polityczne. Na podstawie statystyki wyborczej możnaby twierdzić, że przy powszechnem i proporcjonalnem głosowaniu da się dokładnie obliczyć te „reszty“, wykazać, jak drobnym są one ułamkiem całości i jak niemożliwą rzeczą jest uwzględnić ich potrzeby i żądania bez uszczerbku dla tej olbrzymiej większości, która przez swych przedstawicieli zdobyła głos w izbie prawodawczej. Istotnie, tak by się rzecz miała, gdybyśmy mieli prawo sądzić, że każdy, kto oddał głos na daną partję, ma naskroś partyjny umysł i charakter, że wszystkie jego potrzeby i dążenia zamykają się w programie partyjnym, przystają do niego ściśle i poza jego ramy nie wychodzą. Codzienna obserwacja poucza nas, że jest wręcz przeciwnie, że polityczne — a tem więcej partyjne przekonania każdego z miljonowej rzeszy wyborców zajmują w jego świadomości zaledwie małą cząstkę, często nawet najmniej utrwaloną, najbardziej zmienną, bo najbardziej zależną od zewnętrznych wpływów i okoliczności. Zwykle opierają się one nie na przeżyciach, lecz na przypuszczeniach i donnie-maniach, na informacjach dość jednostronnych lub wprost błędnych, na przewidywaniach zawodnych. Treść jego życia wypełniają bardzo konkretne fakty, bardzo żywe i trwałe uczucia, nawyknięcia, troski i nadzieje, obowiązki i umiłowania. Lewicowcem i prawicowcem jest wtedy, gdy wybiera posła; pozbawionym jest członkiem swej rodziny, gospodarzem domu, rzemieślnikiem, lekarzem czy kupcem, konsumentem chleba, czytelnikiem książek i gazet, na ulicy — publicznością, na kolejach — pasażerem, w teatrze — widzom, dla lekarzy — pacjentem, w każdym wypadku — tym szerokim ogółem, któ-

remu rząd ma zapewnić spokój, porządek, bezpieczeństwo, sprawiedliwość i wolność, a który nawzajem ma rządowi dawać na ten cel środki materialne i moralne, w formie podatków, posłuchu i zaufania.

Dobre rządy, to są takie, które polepszają warunki życia owego bezimiennego ogółu, gotowego każdej chwili przerzucić swe zaufanie i sympatje z lewej strony na prawą, lub z prawej na lewą, zależnie od tego, w czyjem ręku spoczywa władza, która zdobyła jego aprobatę, lub wzbudziła jego rozgorzyczenie.

Takie zmiany, takie fałowania opinji nie dowodzą bynajmniej niedojrzałości politycznej ogółu, lecz wręcz przeciwnie. Ten ogół odczuwa bardzo trafnie, choć często podświadomie, że egzaminem z mądrości politycznej nie jest program, ani zwycięstwo wyborcze, lecz gospodarka kraju. Łatwiej jest mieć rację na wiecach, zwłaszcza partyjnych, gdy oponentów wyrzuca się za drzwi, trudniej dowieść swej racji w praktycznym zastosowaniu, to jest tak uporządkować i zorganizować stosunki, w których rozwija się życie narodu, by ludności ułatwić zaspokojenie jej materialnych i duchowych potrzeb, rozwijanie sił i zdolności i podnoszenie się na wyższy poziom cywilizacji. Te argumenty faktyczne są bez porównania potężniejsze, niż wszystkie, jakie rozwinąć można w dyskusji sejmowej; są wręcz nieodparte i niezbitę, pewniej przysparzają zwolenników a rozbijają wrogów. Tu już nie od doktrynerskiego punktu widzenia zależy, czy rząd na uznanie i zaufanie zasługuje, gdyż ocena opiera się na materiale, który można zliczyć, zmierzyć, sprawdzić.

Gdyby dziś naprzykład jakiś rząd polski doprowadził do obniżenia — a choćby ustalenia i unormowania cen, usuwając niezdolny stan zamętu i niepewności w życiu gospodarczem, gdyby przywrócił kredyt, wzbudził ruch budowlany, a odwrócił od ludności klęskę głodu mieszkaniowego — to niktby się nie pytał, czy lewica, czy prawica tego zbawczego dzieła dokonała, by mu wyrazić votum ufności i życzyć długiego trwania przy władzy. Tym, czy owym systemem, taką, czy inną receptą socjologiczno-polityczną leczyć najdotkliwsze bolączki — byleby zdrowie wróciło — oto, czego ogół żąda.

Od takich konkretnych rezultatów zależy pokój wewnętrzny, rozbicie walk partyjnych, ustalenie większości sejmowej — ale i ważniejsze rzeczy jeszcze, sięgające dalej i wyżej, niż bezpośredni cel tych gospodarskich zabiegów. Od pomyslnego rozwiązania praktycznych zagadnień administracji krajowej zależy — zjednoczenie i ściśle zespolenie dzielnic, których partykularyzm opiera się przeważnie na poczuciu że są źle rządzone, że nad ich elementarnymi potrzebami przechodzi się lekko do porządku dziennego, a „tam w Warszawie tylko wciąż się kłóca, zamiast troszczyć się o to, co się w kraju dzieje“. Od tego zależy jeszcze pomyslnie rozwiązanie sprawy mniejszości narodowych, których lojalność względem państwa bynajmniej nie zawisła od hasła i ideałów, jakimi się je kokietować próbuje, lecz od stopnia przemysłowości, jakiej każdy obywatel państwa ma możliwość

pod polskimi rządami kosztować, więc znowuż nie od tego, w jakiej mierze same rządzić będą, lecz czy będą dobrze rządzone.

Gdzie panuje ład i porządek, bezpieczeństwo osób i własności, rzetelny i szybki wymiar sprawiedliwości w sądach, gdzie urzędy uczciwie, sprawnie i bez zawitych formalności załatwiają każdą sprawę, gdzie prawa i przepisy są logiczne, jasne, proste i równie obowiązujące dla wszystkich itp. itp. tam każdemu łatwiej i wygodniej żyć i pracować, a każdy przywiązuje się do kraju, w którym mu jest dobrze. Tylko jednostki przeciw prawu działające czują się skrępowane i prześladowane, a takie oby się jaknajgorzej czuły i jaknajszybciej emigrowały. W dalszem następstwie zaprowadzenie ładu i pomyślności na wewnątrz wpływa na zaufanie zagranicy, ułatwia kredyt, toruje drogę do promienowania wpływów zarówno politycznych jak kulturalnych, staje się najpewniejszą i najskuteczniejszą propagandą.

Zasady dobrej gospodarki są na mniejszym czy większym terenie takie same; tylko ich zastosowanie jest znacznie bardziej skomplikowane i trudniejsze w administracji publicznej, niż w zarządzie prywatnej instytucji.

To jednak, że zagadnienie jest zawile i wielostronne, zupełnie nie uprawnia do traktowania go w sposób teoretyczny i filozoficzny, w zupełnem oderwaniu od twardego gruntu faktów, realnych i żywych potrzeb.

Życie nie czeka; rządzenie jest sztuką organizowania i normowania życia. Odkładanie spraw pilnych i ważnych do czasu, gdy się znajdzie najdoskonalszy sposób ich załatwienia, często zaprzeczca je gorzej, niż gdyby zostały załatwione jako tako ale zaraz. Tajemnicą złej gospodarki bywa nieraz nie co innego, tylko nałóg odkładania na jutro. Kto nie zorze, nie zasieje, nie zbierze we właściwym czasie, temu każdy rok przynosi klęski w gospodarstwie. Złe gospodarstwo i w administracji publicznej — tak samo jak w prywatnej — może samo przez się do bankructwa doprowadzić, do najnieodroczniejszego roztrwonienia majątku bez korzyści ani nawet nikomej przyjemności dla nikogo, ze stratą i szkodą wszystkich. Kto się chce zbogacić, kto dba o dobrobyt, musi przedewszystkiem baczyć, aby nic się nie marnowało; to samo odnosi się i do publicznego gospodarstwa. Wprowadzenie w życie tej zasady byłoby już bardzo ważnym krokiem do sanacji gospodarki krajowej.

Dla wyjaśnienia przytoczmy kilka konkretnych przykładów:

W zastosowaniu uchwały sejmowej już w 1919 roku rozparcelowano pewną ilość majątków rządowych, donacyjnych i t. p. — Parcelanci weszli w posiadanie swych działek, wpłaciszki zaliczki wynoszące jakieś 10% wówczas przewidywanej ceny. Od tej pory nie płacą już nic, ani czynszu dzierżawnego, gdyż dzierżawcami nie są; ani rat na poczet kupna, gdyż ceny nie ustalono. Skarb na trzy lata z górą pozbył się i majątku, i dochodu, choć były to dla niego ciężkie lata wciąż rosnącego deficytu. Jeżeli to dłużej potrwa, to kiedyś nabywcy, zmuszeni odrazu wpłacić zaległe należności według nor-

my nie przewidywanej w ich rachunku uczują się pokrzywdzeni, nadmiernie obciążeni w stosunku do swej możliwości, gdyż dochodem z jednego roku będą musieli pokryć wydatek, który nie byłby im się dał we znaki, gdyby go rozłożyli na szereg lat. W tym wypadku jednak narazie ktoś zyskuje, mianowicie parcelanci, którzy doszedłszy do ziemi niemal darmo, mogą się na niej zagospodarować i dorobić. Bywa niekiedy gorzej. Rozparcelowano naprzykład ubiegłego lata szeroki szmat ziemi na Kresach; trzy tysiące działek ziemi odmierzone; trzy tysiące osadników czeka, by za nie wpłacić pieniądze i objąć je w posiadanie.

Czekają dlatego, że dawna ustawa okazuje się niewłaściwą, a opracowywanej się nowa. Termin ukończenia tej pracy nie jest ściśle określony, mogą przeto czekać jeszcze dość długo. Tymczasem pieniądze tracą na wartości, ziemia nie przynosi dochodów nikomu. Jeżeli nie zostanie obsiana na wiosnę, jeśli nowe gospodarstwa nie zostaną założone zaraz, cały rok będzie dla nich stracony — no, i dla skarbu także — a straty tej nikt nikomu nie wróci. To nie są fakty wyjątkowe — lecz najpowszechniejsze i najogólniejsze, a z nimi łączy się dużo innych. Tam, gdzie zwłoka paraliżuje sprawy będące w biegu, zastój rozciąga się na wszystkie związane z nimi czynności i urzędy, instytucje, które właściwie powinny być zaważone pracą, bardzo konkretną, użyteczną i dochodową, karmią urzędników próżnujących i czekających na robotę, której może w swoim czasie nie będą mogli podolać, gdy — po usunięciu zatoru — zwali się na nich lawiną. Powstanie zamęt i nowe straty, a wszystko skutkiem zlej gospodarki.

A oto jeszcze jeden przykład teoretycznego rozwiązywania praktycznych kwestji: Republika ludowa, wychodząc z zasady, że wszystkie majątki byłych panujących i ich rodzin winny zostać wywłaszczone i przejęte na skarb państwa, wywłaszczyła doraźnie majątek arcyksięcia Karola Stefana w Żywcu; dobra tak świetnie zagospodarowane, że przed wojną przynosiły nieboszczce Austrii milionowe podatki w walucie pełno wartościowej. Pod zarządem państwowym gospodarstwo upada i daje skarbowi tylko deficyty. Rząd dokłada, kraj traci przez obniżenie produkcji, właściciel czuje się pokrzywdzony, — triumfuje tylko idea, nietyle republikańska i patriotyczna, ile ekspropriacyjna.

Niewątpliwie dokładna i fachowa analiza gospodarczych stosunków w kraju wykazałaby znacznie większą ilość takich dziur bez dna, w których zaprzepaszcza się majątek publiczny i wyjaśniłaby ten lub ów paradoks naszego życia gospodarczego.

Zrozumiałą jest rzeczą, że rząd musi łączyć na potrzeby publiczne, a chcąc dawać tam, gdzie trzeba, musi brać od obywateli w stosunku do ich możliwości. Mniej zrozumiałem jest, gdy biorąc traci zamiast zyskiwać, gdy dając — uboży, zamiast bogacić, gdy brnąc w coraz większą nędzę, w tę samą nędzę ściąga kraj, zasypując go wartościami fikcyjnymi, a pozwalając na trwonienie i marnowanie realnych wartości — takich jak czas, praca ludzkich rąk i mózgow, siły

produkcyjne tkwiące w przyrodzie kraju. W tem tkwi zagadka rozumnej oszczędności, by żadna wartość nie marniała, lecz służyła do wytwarzania nowych wartości. Istnieje bowiem także oszczędność bezmyślna, mechaniczna, nie produkcyjna, która jest również marnotrawstwem, — oszczędność, która głodzi konia, a w końcu — zamiast siły roboczej ma tylko skórę.

Gospodarski zmysł praktyczny jest jednym z głównych warunków dobrej polityki, bo w polityce nawet do najdalszych i najidealniejszych celów zdążać można tylko po twardej drodze konkretnych, realnych faktów.

I. M.

KOŚCIÓŁ I NACJONALIZM.

Na tajnym konsystorzu 11 grudnia 1922, na którym Pius XI kreował szereg nowych kardynałów, zakończył on następującym zwrotem swę przemówienie, ogłoszone następnie pod nazwą *Vehementer gratum*: „program działania, któryśmy sobie zakreślili, jest identyczny z programem naszych dwóch poprzedników: pierwszy z nich (Pius X) dążył do odbudowy wszyściego w Chrystusie, drugi (Benedykt XV) wciąż głosił ludziom pokój chrześcijański. Te dwa cele obraliśmy jako program naszego pontyfikatu. Chcemy zgrupować je syntetycznie w formułę, która stanie się niejako naszą dewizą: pokój Chrystusa w Królestwie Chrystusowem”.

W ogłoszonej następnie 23 grudnia z. r. swej encyklice *Ubi arcana Dei* Pius XI w rzeczy samej kładzie główny nacisk na te dwa momenta: schrystjanizowanie życia jak prywatnego tak i publicznego i wprowadzenie pokoju jak w stosunkach wewnętrznych, tak i w zewnętrznych państw.

Z punktu widzenia politycznego ten drugi moment jest przede wszystkim interesujący i do niego też ograniczymy się w omówieniu encykliki — tej encykliki, która część zresztą prasy zagranicznej ochrzciła już nazwą *Encykliki Pokoju*.

Jest nią też ona w całym tego słowa znaczeniu i fakt — godny podkreślenia — zajmuje się ona przede wszystkim kwestją pokoju w dziedzinie stosunków międzynarodowych.

Pius XI stwierdza, że, narody i państwa nietylko nie odzyskały tak upragnionego przez nich pokoju, ale że pokój ten oddalony jest dziś od nich bardziej niż kiedykolwiek. Groźba nowych konflagracji wisi nad całym światem... wzajemna nieprzyjaźń i wzajemne urazy państw między sobą nie pozwalają narodom spokojnie oddychać, „nietylko zwyciężeni do zwycięzców ale i zwycięzcy jedni do drugich napelnieni są wrogiem uczuciem”, a tymczasem „zło staje się coraz nieznosijszym, zwłaszcza odkąd ciągle ponawiane próby i rady polityków nietylko nie dały oczekiwanych rezultatów, ale dały rezultat wprost ujemny”.

Wyliczając przyczyny takiego stanu rzeczy, Pius XI wśród całego ich szeregu kładzie specjalny nacisk na „pożądliwości przykrywające się płaszczykiem patriotyzmu i dobra pu-

blicznego". I tu sięga on do samej głębi przedmiotu i do samego dna zagadnienia. Zagadnienie bowiem przeżywanego przez nas kryzysu międzynarodowego leży w płaszczyźnie moralnej: doktryny siły kierują dziś narodami, a siła idzie przed prawem. Narody, zatracając poczucie swego sumienia a z niem razem poczucie moralności, zapomniwały, że są one „braćmi wielkiej rodziny ludzkości i że (wszystkie narody) mają prawo do życia i do rozwoju". Miłość ojczyzny „staje się źródłem licznych niesprawiedliwości i zła, gdy przekracza (ona) gran prawa i gdy robi się przesadnym kochaniem swego narodu". „Zbyt długo prawo gwałtu wszędzie panowało i stępilo u ludzi poczucie dobroci i miłosierdzia". „W polityce stronnictwa przyzwyczaiły się do wzajemnej rywalizacji...nie mają na widoku dobra ogólnego a jeno swe własne korzyści". Przyczyna złego leży w tem, że „ludzie odwrócili się od Boga i Chrystusa"... Winowajcami tego są nietylko, oddzielni ludzie ale i „narody“ całe.

Mowa rzeczywiście twarda i sądowa — zwłaszcza dla uszu niektórych narodów, do których ze smutkiem i Polskę zaliczyć trzeba.

Ale właśnie ta surowość w ocenie przez Piusa XI kierunków imperjalistycznych i nacjonalistycznych jest wielce znamienna. Stanowczo i wyraźnie odgranicza ona katolicyzm od tej polityki siły, z którą próbowano go identyfikować, lub przynajmniej o ścisły związek posądzać, i to pomimo nieraz już idących od Watykanu zaprzeczeń i sprostowań.

Obecna encyklika bez żadnej dla nikogo wątpliwości rzecz stawia jasno: doktryna katolicka nie ma nic wspólnego z doktryną tych kierunków, które widzą w sile oświata i podstawę porządku i pokoju. Przeciwnie, przeciwstawia się im ona i potępia z całą stanowczością.

Nie można dość podkreślić ważności tego momentu, zwłaszcza, że zbyt długo wmawiano w nas, że jest inaczej, wmawiano, że Kościół Rzymski uczynił swoją ideę nacjonalistyczną i uczynił ją bez żadnych zastrzeżeń. Otóż tak nie jest: z wysokości tronu Piotrowego padły słowa o szkodzie i o złu wynikającym z „przesadnego kochania swego narodu“.

I inaczej być nie mogło, bo naród w koncepcji chrześcijańskiej nie był i być nie może nigdy swym własnym celem, swym celem ostatecznym i najwyższym prawem. W nauczaniu Kościoła katolickiego naród zajmował poczesne miejsce w hierarchji całego szeregu celów, obowiązków i praw, ale więcej nic: był on zawsze tylko jednym z celów, względem którego każdy chrześcijanin poczuwać się był powinien do pewnych obowiązków; dlatego też prawa narodu ograniczone są prawami wyższymi: prawami supra-narodowymi—nie mówiąc już o prawie moralnem i etycznym, będącem emanacją Odwiecznego Prawa Wiekuistego.

Takie zrekrtyfikowanie pojęcia narodu z punktu widzenia chrześcijańskiego jest nauką, którą katolicy wynieść mogą z czytania encykliki Piusa XI: naród nie jest najwyższym prawem, prawo idzie przed siłą. Słusznie też bardzo pisał p. Leon Bourgeois: „gdy wszyscy będą wiedzieć, że siła jest służą prąwa, to wszyst-

kie imperjalizmy wnet zamilkną. Obok specyficznie narodowej dyplomacji powstanie druga, nowa dyplomacja, która nie będzie zwalczała pierwszej, ale będzie ją tylko dopełniała, i oddajmy od siebie... prostowała.

Nauka płynąca z encykliki *Ubi arcana Dei* nie powinna też mijać bez echa w Polsce i miejmy nadzieję... bez korzyści dla naszych stosunków. Otworzyć ona powinna oczy tym, którzy obalamuceni nieprzebiegającą w środkach agitacją, oślepieni jaskrawymi patryjotycznymi hasłami a oszołomieni gromkimi acz pustymi frazesami, widzą w histerji poczucia narodowego, w nienawiści do wszystkiego co niepolskie, w sile, przemocy i gwałcie nad wszystkim, co inaczej trochę na świat patrzy...i może nieco głębiej — jedyny sposób konsolidacji i jedyny ratunek dla „ginącej“ ojczyzny, jedyne credo i jedyny modus działania.

Że szerokie masy katolików polskich mogły dać się wziąć na lep tego rodzaju hasłom i że w dodatku mogły uwierzyć zapewnieniom zręcznych agitatorów, iż hasła te są jednocześnie „hasłami chrześcijańskimi“ — nic w tem dziwnego niema. Znajomość a zwłaszcza zrozumienie katolicyzmu i jego doktryny jest w Polsce nad wyraz powierzchowne i płytkie, nawet wśród warstw inteligentnych... zwłaszcza gdy się je porówna z głębokim ujmowaniem istoty katolicyzmu, które spotykamy wszędzie na Zachodzie. Pod tym względem Polska wlece się w ogonie narodów katolickich mimo swych przepelnionych kościołów.

Tem nie mniej encyklika Piusa XI przebrzmieć i w Polsce bez echa nie może. A im większe to echo będzie... i głębsze, tem silniej odbije się ono o dusze, sumienia i umysły wszystkich, a przyniesie nieobliczalne wprost może korzyści dla idei religijnej w Polsce, dla państwa polskiego i dla samego narodu polskiego, stawiając te wszystkie trzy rzeczy na ich właściwych miejscach... tak, jak Pan Bóg przykazał.

Z. Z.

Centralny problem naszej epoki.

Wykład w T-wie Lekarskiem w Krakowie.

(Dokończenie).

Tak więc pod ciśnieniem wojny i rządzącej nią woli do zwycięstwa obu stron walczących ludzkość cywilizowana odkryła poprostu w ciągu kilku lat ogromne gotowe już i przydatne do natychmiastowej eksploatacji źródła siły przedewszystkiem niszczącej. Pchnięty tak potężnym impulsem, jak wojna i trwające po niej afekty, obawy i rachuby różnych narodów umysł ludzki w danym kierunku nie zatrzymał się po wojnie w miejscu, lecz szybko podążył naprzód. Już dzisiaj w cztery lata po tym wielkim eksperymencie z nowoczesnymi siłami zniszczenia wtajemniczeni w szczegóły techniki tej dziedziny opowiadają rzeczy mrozące krew w żyłach.

Na konferencji waszyngtońskiej jedna z podkomisji zajmowała się specjalnie techniką środków niszczących i zabijających w jej powojen-

nym rozwoju. Amerykanie przedstawili daty z postępów swojej własnej techniki w tym względzie. Są one przerażające. Znakomity pisarz angielski Wells, który w charakterze sprawozdawcy przysłuchiwał się obradom tej komisji, zapewnia, że w porównaniu z bombami, które już dzisiejsza technika może rzucać z aeroplanów, bomby niemieckie, rzucone z zeppelinów na miasta angielskie, wyglądają jak niewinne bombonki, jakkolwiek miały one rozmiary średniej wielkości kas wertheimowskich i były zdolne do fundamentów burzyć całe kwartały kilkupiętrowych domów.

A teraz niebawo rozwój techniki awiatycznej. Do przewozów towarów potrzebnych i pożytecznych awiatyka wprawdzie nadaje się w stopniu minimalnym, lecz do rozwożenia bomb o niepojętej niemal sile eksplozywnej i ładunków najbardziej trujących gazów jest jakgdyby stworzona. Według wyliczeń londyńskiego towarzystwa awiatycznego, podróż aeroplanem z Londynu do Australii już dzisiaj mogłaby trwać tylko siedm do ośmiu dni, wliczając już w to konieczne lądowania i nabierania opału i wymianę części składowych, gdyby istniały tylko po drodze odpowiednio urządzone i zaopatrzone stacje aeroplanowe. Przestrzenie takie, jak Moskwa-Paryż, Berlin-Lizbona, można odbywać już dzisiaj w przeciągu kilkunastu godzin. Czyli że niema w Europie dwóch punktów, między którymi w ciągu jednej doby nie mogłaby dokonać się straszna komunja bombami i gazami trującymi przy pomocy aeroplanów. Technika gazowych środków bojowych uczyniła wojnę kilkanaście tysięcy razy tańszą od wojny metalowej nieskończoną ilość razy bardziej niszczycielską i morderczą. Tu już nie pułki i dywizje, jak na polach Flandrii i Szampanji, ale całe miasta i ludność całych obszarów prowincji może być przy pomocy już dzisiaj znanych i technicznie całkowicie opracowanych środków sumarycznie unicestwiana.

Zważyć zaś należy, że całą tę niepojętą prawie prepotencję w sile niszczycielskiej przede wszystkim dała ludzkości cywilizowanej prawie wyłącznie tylko chemia molekularna. W dziedzinie t. zw. „ultrachemji“, czyli chemji atomowej, nauka nasza stawia dopiero pierwsze, jakkolwiek niezmiernie wiele obiecujące kroki. Wiemy już, że energie atomowe, wywiązane przez rozpad atomów, są nieskończenie większe od energii molekularnych, wywoływanych przez spalanie ciał, czyli przez rozbijanie ich budowy molekularnej. Wyliczono, że największy z pływających obecnie statków pasażerskich, zbudowany przez Niemców, posiadany zaś obecnie przez Amerykanów „Imperator“, który na jeden przejazd z Europy do Ameryki zużywał 250 wagonów węgla, mógłby przez dziesięć lat pływać bez przerwy po oceanach, spotrzebowując przez ten czas do opalenia swych kotłów tylko jeden kilogram węgla, którego atomy ulegałyby stopniowemu rozbiciu.

Ponieważ zaś wynalazczości ludzkiej granic — jak doświadczenie uczy — kłaść nie można, przeto nie jest wykluczonem, że problem zużycia energii rozbijanych atomów będzie kiedyś rozwiązany. Otworzy on przed człowie-

kiem nowe źródło siły, przedewszystkiem niszczącej, o której zupełnie nie wiadomo, co on z nią pocznie.

Mysłąc o tych wszystkich faktach, musi uderzyć nas niezwykła nierównomierność postępu ludzkiego w różnych dziedzinach techniki. Pomijając już n. p. technikę naszego przemysłu żywnościowego, który piecze chleb i przygotowuje żywność w zasadzie w taki sam sposób, jak to czynił przed laty tysiącami, spójrzmy na naszą technikę n. p. budowlaną. Przed ruinami ulicy procesyj w Babilonie, przed pylonami bramy Isztary w tem mieście, przed ruinami Karnaku stoimy jeszcze ciągle zdumieni i jakgdyby zawstyżeni. Zdaje się nam bowiem, że duchy ich budowniczych z przed czterech, pięciu i więcej tysięcy lat uśmiechają się ironicznie na widok nasz, mieszkańców nowoczesnych kamienic. Spójrzmy na mosty i na akwadukty rzymskie i zadajmy sobie pytanie, czy różnice pomiędzy temi dziełami budownictwa rzymskiego a odpowiedniemi naszymi są tak samo wielkie jak różnice między rzymską katapultą a naszą czterdziestocentymetrową armatą? Otóż gdy tam różnice stosunkowo są minimalne, to tu w tych środkach niszczenia różnice są wprost niewymierne. Na jaką odległość, jaki ciężar i z jaką siłą perkusyjną rzucała biedna rzymska katapulta swoje kamienie w porównaniu z nowoczesną ciężką armatą! Ale z drugiej strony jak wyglądały łaźnie rzymskie w porównaniu z naszymi!

Tak więc człowiek nowoczesny w ciągu wojny światowej i bezpośrednio po niej znalazł się w posiadaniu środków i sił niszczycielskich tak wielkich i tak strasznych, jakimi dotąd nikt na tym planecie nie rozporządzał, jakich ludzkość w swoich mitach nawet bóstwom swoim nie ważyła się wkładać w ich skąd inąd potężne ręce. Jowisz mógł dokazywać różnych dziwnych rzeczy, ale głównie w celach frywolnych. Mógł zamieniać się stosownie do okoliczności w byka lub łabędzia, aby dogodzić swym zachciankom poza plecami prawowitej małżonki, ale w dziedzinie gniewu i zniszczenia rozporządzał tylko pospolitym piorunem. Człowiek zaś współczesny o ile ograniczony jest w metodach i środkach skutecznego flirtu, obracając się w tej dziedzinie aż do znudzenia wiecznie dokoła tego samego, to w dziedzinie zniszczenia może bez trudu dokazywać rzeczy, na których widok sami Tytani uznaliby się za nieudolne niemowlęta.

Rozważając wszystko dotychczas powiedziane, stajemy przed pytaniem, co człowiek współczesny robi, co może zrobić z tą potęgą niszczycielską, którą rozporządza? Doświadczenie historyczne całej ludzkości nie daje tu pola na żadne złudzenia. Człowiek nowoczesny zgodnie ze swoją naturą, tradycją, wychowaniem, zgodnie ze swemi pojęciami o interesie t. zw. państwowym, narodowym czy klasowym, nie omieszka użyć tych wszystkich niszczących środków wobec drugiego człowieka, skoro tylko będzie mu się zdawało, że posiada ich więcej, niż przeciwnik, lub że potrafi ich lepiej niż on użyć.

Spójrzmy dokoła po świecie cywilizowa-

nym, a ujrzymy wszędzie kłębiące się morze niewiści wzajemnej, wszędzie otwarte i coraz zacieklej obustronnie fałszowane rachunki, przedewszystkiem zaś wszędzie strach paniczny jednych przed drugimi, ponieważ jedni, znając siebie i sądząc po sobie mają wszystkie powody obawiać się drugich. Nigdy może produkcja faktycznych, przedewszystkiem zaś psychicznych przesłanek do wojny nie była tak intensywnej, jak jest obecnie w tym szczęśliwie rozpoczętym okresie rozbrojenia, pacyfikacji i Ligi narodów.

Lecz jeszcze jeden moment wypadła podnieść, dziwniejszy a zarazem groźniejszy, jakgdyby — preagonalny. Oto ostatnią wojnę światową ludzkość cywilizowana rozpoczęła, nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, nie oceniając ani sił, któremi rozporządzała, ani skutków, jakie z uruchomienia tych sił wynikną. Jest faktem niewątpliwym, że nikt w Europie nie przypuszczał ani że wojna potrwa tak długo, ani że przybierze takie rozmiary, ani że wreszcie pozostawi po sobie takie zniszczenie. Obecnie jednak ludzkość cywilizowana przygotowuje się do wojny, czyniąc ją psychicznie niemal nieuniknioną z jasną świadomością jej natury, jej skutków. Jest to już przykład przygotowania się do skoku w przepaść, z otwartymi oczyma, z całą samowiedzą skutków i z tym jedynie argumentem, że na dnie tej przepaści znajdzie się także i przeciwnik... Jest już zdaniem powszechnym, które z niczyjej strony nie budzi sprzeciwu, że nowa wojna światowa, prowadzona środkami chociażby tylko dzisiejszej techniki, musiałaby w skutkach swoich zniszczyć cywilizację rasy białej a z nią razem podstawę bytu dla setek milionów ludności Europy, które razem z tą cywilizacją żyją i giną.

Niemal do połowy ubiegłego wieku siły niszczycielskie równoważyły się w ręku człowieka z siłami konstrukcyjnymi. Wprawdzie burzenie i niszczenie odbywało się zawsze łatwiej, niż budowanie, to jednak ten zapas sił i metod niszczycielskich, który zastali jeszcze nasi ojcowie, nie był tak wielki, aby zachodziło niebezpieczeństwo zniszczeń tak całkowitych i rozległych, jak obecnie. Napoleon ze swemi armjami przemierzył wzdłuż i wszerz Europę, do każdego niemal jej kraju zanosząc żągi wojny i zniszczenia. Mimo wszystkie udzięki i zniszczenia, które tym wojnom towarzyszyły, jakże jednak niewielką stosunkowo była ich siła niszczycielska. Przy naturalnem gospodarstwie ówczesnej Europy powojenna jej odbudowa odbyła się stosunkowo szybko i łatwo, tem bardziej, że w pomoc jej przyszły tak wielkie wynalazki, jak kolej żelazna i statek parowy.

Obecnie niema widoków na takie wynalazki, któreby zniszczenie wojny ostatniej mogły szybko zrównoważyć. Cóż mówić dopiero o zniszczeniach, jakie wywoła wojna następna! Ani dalsza intensyfikacja produkcji rolnej przez wynalezienie metod taniego dobywania azotu z powietrza, ani zdolność spalania węgla wprost w kopalniach i rozprowadzania energii bezpośrednio z ominięciem całej pracy kopalnianej i rozwozowej, ani wykrycie w ogóle nowych źródeł energii — nie zdołają w skutkach swych zrównoważyć tych możliwości niszczycielskich,

jakie technika współczesna i chemja postawiły otworem przed nowoczesnym człowiekiem z jego psychologią.

Jednem słowem, człowiek nowoczesny stał się dla siebie samego zbyt silnym nie tyle w tem, co może stworzyć i zbudować, ile przedewszystkiem w tem, co w każdej chwili może zniszczyć.

Pytanie, w jaki sposób użyje człowiek tej swojej ogromnej siły, doprowadza nas bezpośrednio do zagadnienia natury ludzkiej i do kwestji, czy zdolną jest ona do odrobienia takiej ewolucji uczuciowo - intelektualnej, aby równowaga, utracona między siłami konstrukcyjnymi a niszczycielskimi w technice mogła być przywrócona w płaszczyźnie innych relacji, mianowicie w stosunku techniki do mentalności człowieka.

Takie postawienie kwestji sprowadza nas atoli w dziedzinę zgoła odmiennego i bardzo trudnego problemu, mianowicie w dziedzinę sporu o to, czy natura ludzka jest „a priori” dobrą czy złą. Spór ten nie będzie nigdy rozstrzygnięty, ponieważ dotyczy sądów wartościowych. Należy on do zakresu wiary indywidualnej, która sama jedna jest rozstrzygać go na użytek każdego z osobna.

Z punktu widzenia obiektywnej i niejako pozaludzkiej obserwacji potrzeba jednak stwierdzić, że ani biologia ani szczególnie jej przypadek — historia ludzka nie dostarczają żadnych argumentów na dowód, że natura ludzka w warunkach normalnych otoczenia jest zdolną do takich przeobrażeń, aby czyniły one zadość postulowanej wyżej równowadze między mentalnością a techniką człowieka.

Zmiana tak głęboka i tak zasadnicza dokonana się w dziejach ludzkich raz tylko jeden przed milionami lat, wtedy mianowicie, kiedy pod ciśnieniem niezmiernie zaostrzonych warunków bytu w okresie interglacjalnym z piteco antroposa wytworzył się po prostu nowy gatunek — antropos. Wówczas zmianie tej psychicznej towarzyszyły odpowiednie zmiany somatyczne. Człowiek stracił bardzo znaczną część swego uwłosienia, klatka piersiowa wskutek wyprostowanej postawy rozszerzyła się, górne kończyny uległy skróceniu, szczęki zmniejszyły się, przedewszystkiem zaś wzrosła objętość i waga mózgu w stosunku do ciężaru ciała. Pithecanthropos erectus javanensis, Homo Neandertaliensis — oto etapy tego rozwoju, którym pod względem znaczenia i wyrazistości dzieje człowieka historycznego nic podobnego przeciwstawić nie umiemy. Przypatrując się najstarszym zabytkom rzeźby ludzkiej, mianowicie marmurom sumeryjskim, czytając najstarsze zabytki piśmiennictwa ludzkiego, widzimy, że człowiek historyczny zarówno w istotnych zasadach swojej budowy anatomicznej, w swojej fizjologii, jak w swoim aparacie psychicznym pozostaje niezmiennym.

Znamy dzisiaj kilkanaście kultur, które zrodziły się, przetrwały tysiące lat i zamarły, osiągnęły nieraz wyżyny dla nas dzisiaj niemal niezrozumiałe. Mimo to żadna z nich nie legitymuje się zmianami somatycznymi w człowieku, wyjąwszy wybitnie degeneratywnych, które tutaj ważyć nie mogą.

Człowiek więc historyczny zmieniał swój sposób życia, swoje wyobrażenia, swoją technikę, ale nie zmieniał nigdy swojej natury, nie zmieniał podstaw swego aparatu psychicznego, nie wytworzył zmian istotnych w swoich instynktach, jednym słowem, pozostawał zawsze ten sam. Wynikający z tej niezmienności swojej natury deficyt człowiek starał się od zarania wieków pokryć na innej drodze, mianowicie na drodze wiary, dzięki której dobudowywał niejako brakujące mu do pełnego i harmonicznego rozwoju reszty świata, przenosił zarówno przedmioty najwyższych swoich pragnień, jak i najświętsze sankcje swoich działań w inne jakieś wymiary. W świecie wiary i religii szukał człowiek pokrycia tych deficytów i znajdował je, o ile wierzył

Wszystkie religie, jakkolwiek zapatrywać się będziemy na ich powstawanie, miały swoje uzasadnienia rzeczywiste w tej głębokiej potrzebie równowagi psychicznej, którą odczuwa człowiek. Wszystkie miały na celu wyrównywanie jakichś deficytów, powstających kolejno, czy to po stronie materialnych potrzeb człowieka w czasach jego ubóstwa i słabości, czy po stronie jego duchowych i moralnych potrzeb powstających w czasach — jak obecne — hipertrofii pewnych stron materialnych.

Problem, który tu poruszam, jest tak olbrzymi i trudny, że traktując go tylko mimochodem w skrótach tak wielkich, że niemal karykaturalnych, narażam się na niebezpieczeństwo przykrych nieporozumień. Nie mniej w jednym wykładzie nic wdanej i jaśniej w tej materji powiedzieć nie podobna.

Więc zmodyfikujemy postawione poprzednio pytanie, czy natura ludzka jest zdolna do takich zmian, które są potrzebne dla przywrócenia utraconej równowagi i zapytajmy raczej, czy człowiek nowoczesny jest zdolny wytworzyć sobie system takich wierzeń, któreby z jednej strony pokrywały się z jego wiedzą pozytywną w tym stopniu, aby w ogóle mogły istnieć, z drugiej zaś aby były tak silne, iżby istotnie i faktycznie zaważyły na jego systemie psychicznym, na procesie jego pragnień i postanowień, któreby jednym słowem mogły stać się podstawą *nowej etyki starego człowieka*, etyki umożliwiającej przywrócenie tej utraconej równowagi i wyrównanie deficytu, jaki wykazuje bilans sił materialnych i duchowych współczesnego człowieka.

Wilhelm Hegel stworzył w swej filozofji historii pojęcie t. zw. „dyalektyki historii, czyli, jak on to sam nazywał, „Dialektik des Weltgeistes“. Pojęcie to oznacza prawo, wedle którego każdy proces historyczny, rozwijając się siłą wewnętrznych swoich konieczności, dochodzi do punktu, w którym siłą tych samych wewnętrznych konieczności przedstawia się w proces diametralnie przeciwny. Rozważając dotychczasowe dzieje ludzkie, przede wszystkim śledząc procesy rozwojów i rozkładów, kolejnych wzniesień i upadków różnych zbiorowości ludzkich, znajduje się wszędzie potwierdzenie słuszności tego prawa heglowskiego.

Obecnie wszystko przemawia za tem, że ta zbiorowość ludzka, którą mamy na myśli,

mówiąc o cywilizowanej nowoczesnej ludzkości, stoi właśnie w tym krytycznym punkcie dialektyki swego procesu rozwojowego. Pójdzie naprzód czy cofnie się w tył, daleko poza wszelkie dające się dzisiaj oznaczyć granice? Oto ten problem centralny, który chciałem przed Panami rozwinąć i postawić lecz jako żywo — nie rozwiązywać.

Zaiste bowiem dość z nas będzie wiedzieć, że problem ten istnieje, że jest wysoce aktualny i że w istocie swojej góruje nad wszystkim, co z tych czy innych względów wydawać się nam może najważniejszym, najpilniejszym i najtrudniejszym.

Konstanty Srokowski.

ÇA IRA.

[WRAŻENIA I MYŚLI]

Posępny schyłek.

Prastary wódz „postępu warszawskiego“, Aleksander Świętochowski, powierzył opiece narodowej demokracji schyłek swoich dni, oddając do druku na łamach „Gazety Warszawskiej“ swój utwór komedjowy p. n. „Hultaj“.

Fakt ten napełnił niesłychaną dumą cały obóz nacjonalizmu polskiego.

— Jest coś niezmiernie znamiennego w tem — pisze „Gazeta“ — że wódz polskiego wolnomyslicielstwa dziś prace swe drukuje w organie polskiego nacjonalizmu. Jest coś wzruszającego, gdy się zważy, że patriarcha polskiego postępu staje dziś jawnie w szeregach obozu narodowego...

Tak pisze „Gazeta Warszawska“. Trudno o jaskrawszy, zaiste, wyraz szargania cudzej starości.

Ten, kto łono „ósemki“ obiera za prytanejon, ten posępny ma schyłek i na rzetelne zasługuje współczucia. Jakąż straszliwą samotnością osaczyć musiało życie obecne dni dawnego „Posła Prawdy“, skoro głowę opuszczoną składa wezglowiu z mrowiska?

Atoli w fackie owej samotności urzeczywistnia się na przykładzie Świętochowskiego głęboka prawda psychologii dziejowej.

Aleksander Świętochowski przez wszystkie lata swego życia obcy był duchowi dążeń do samodzielności politycznej swego narodu. Głosił wolnomyslicielstwo i postęp, ale pod ołowianym dachem ucisku zaborczego. Samodzielność polityczną poczytywał za zbędny dla narodu ciężar. Wierzył, że można istotną niepodległość nosić zamkniętą w twierdzy swojej głowy, swojej czaszki, dźwigając jednocześnie kajdany na rękach i patrząc na świat przez okratowane okna turmy rosyjskiej.

Przeciwstawiał się on obozowi narodowej demokracji w imię drugorzędnych różnic programowych w zakresie kultury, filozofji, etyki. Nie przewidział on nawet wówczas istnienia tej głębokiej, acz ukrytej z nią łączności: łączności wobec zagadnienia bytu politycznego Polski.

Gdy przyszła niepodległość, gdy przyszła z wielkiej wojny, której możliwość zarówno Świę-

tochowski, jak narodowa demokracja, negował i wydrwiwał, uczuł się on wśród niej tak obcy i tak samotny, jak człowiek, któremu zburzono wszelkie podstawy myślenia i przewidywania.

Zawiodła go twierdza własnej głowy!

Świętochowski uczuł się w Polsce niepodległej tak obcy i samotny, jak pajak, wytracony ze snutej przez się sieci; jak pajak, tkający latami subtelną pajęczynę w rogu celi więziennej, wysoko, wysoko, pod samym pułapem; jak pajak, który nagle ujrzał, że mury więzienia padły, a on — najwyższy snowacz przedzy więziennej — wisi na ostatniej nitce u rozbitej cegły.

Irezyona.

„Irezyona“: co znaczy ten obcy wyraz? I jak powstała ta dziwna książka, której wyraz ów służy za tytuł?

Mam na myśli ostatnią książkę Tadeusza Zielińskiego „Irezyona“ — klechdy attyckie (serja pierwsza i druga, nakład Tow. Wydawniczego).

Skąd uczonemu przyszło do głowy po latach pracy naukowej, latach w plon bogatych, wymienić rydel trzeźwego badacza na skrzydła wolnej twórczości?

By tę zagadkę zrozumieć, trzeba przypomnieć sobie, że w Zielińskim od najwcześniejszych jego lat obok uczonego i badacza tkwił myśliciel i poeta.

Zieliński nie tylko świat antyczny badał, ale świat ten kochał, kochał tak, jak wtórą ojczyznę, tę wtórą ojczyznę, która była rodzicielką jego umysłu.

Kochał się w Helladzie i żył nią.

Z roku na rok, o wiosnie, Zieliński — w latach przedwojennych piastujący katedrę filologii na uniwersytecie petersburskim — opuszczał surowe bulwary nadnewskie i mknął do swej nieśmiertelnej Grecji.

W przeciągu kilku dni odbywał podróż dwóch tysięcy kilometrów i — trzech tysięcy lat.

Z wybuchem wojny, nagle, odcięty został od słonecznego wybrzeża Attyki, od czaru morza Egejskiego. Wojna wzniosła i utwierdziła wzdłuż granic swe żelazne kordony.

Ale tu odsłoniła się potęga szczęśliwej, wzajemnej miłości!

Zieliński nie mógł odwiedzić Hellady, więc ona przyszła do niego. Hellada! Jęła odwiedzać go we śnie korowodem niezapomnianych widzeń.

Z tego snu i z tych widzeń narodziła się „Irezyona“ — księga klechd attyckich.

Ileż razy, i z jaką radością, witał był dawniej Zieliński tę ziemię, gdy dano mu ją było oglądać na jawie. A przecież przysiągłby, że teraz, teraz dopiero, we snach tęsknoty, poznał ją prawdziwie, że widzenie swych oczu wzmógł do jasnowidzenia.

...Oto widok świętej drogi eleuzyńskiej; oto wąwozy Ceteronu, oto ponura skała Ramuuntu, oto wyniosły grzbiet Laurjanu, oto szczyt Hymettu!

Znał te miejsca, zdawało się, na pamięć, a oto teraz, przekonywa się, w tęsknocie widzi je jakgdyby po raz pierwszy. Każde wzgórze, każda dolina, każde rumowisko zwierza mu tajemnice dotychczas niezbrane, tajemnice dawno zaginionych kształtów, uniesień, wybuchów i poświęceń.

Z jakąż tkliwą, niepohamowaną gorączką uczuć wstępował ongi, za lat swej młodości, na szczyt Hymettu, aby — po nocy gwiazdzistej — zdążyć przed świtaniem na tę godzinę cudu, która się zowie wschodem słońca na Hymecie! Z jakąż religijną niemal trwogą czekał na pierwszy brzask różanopalcej jutrzeźki.

A oto teraz ona, sama Różanopalca, Eos Homerowa, pochyla się nad jego głową, aby mu zwierzyć baśń Proksidy i Kefalosa.

Sen i tęsknota przyoblekły widzenia Zielińskiego w szczególne czarodziejstwo, przenosząc rzecz każdą, każde zdarzenie ze sfery dokonania w sferę oczekiwań, nadziei, wysiłku i dążenia.

Pod stopami Zielińskiego ziemia Sofoklesa i Fidjasza zda się odzyskiwać swą postać z przed lat tysięcy, gdy tętniła dopiero potęgą możliwości, płonąła wielkością obietnic. Zieliński — poeta przenosi nas w swoich „klechdach“ do Grecji przedhistorycznej, sięga w czasy bajecznych królów Attyki, pochyla się nad źródłami mocy i świeżości, z których piły młodzieńcze usta i oczy Homera.

...Niema jeszcze chwały rządów Peryklesa; niema krwi i sławy Marotonu; niema mądrych ustaw Solona; wszystko to unosiło się dopiero we mgle przedstworzenia. Grało na strunach wiatru, szumiało w szmerach morza, w szelestach gajów oliwnych, w głębiach dusz ludzkich, w modrych roztoczach nieba.

Nie było jeszcze historii, nie było jeszcze poetów. Zieliński wskrzesza w swych klechdach świat, w którym wszystko było cudem i niespodzianką, w którym sam wiekiusty żywioł poezji grał między niebem a ziemią, między morzami a lądem.

O, boska jutrzeźno twórczości! O, Hellado! ile cię cenić trzeba!.. Temi tylko słowy najzarliwszej, w snach wyolbrzymionej tęsknoty wypowiedzieć mógł Zieliński miłość swą dla ziemi Erechteusza. Nie dość mu było miłować i posiadać Helladę w jej postaci widzialnej, w urodzie jej pomników, arcydzieł i ruin. On zapragnął ją posiadać w dzwiewictwie jej marzenia, w śnie Matki-ziemi, rozpiętym i witym na tęczach prątworczej fantazji.

Er Zet.

EUROPA I AMERYKA.

W ostatnim zeszyście dwutygodnika „Le Correspondant“, z dnia 10 stycznia znajdujemy bardzo ciekawy i aktualny artykuł p. Bernarda Fay'a „O polityce zagranicznej Stanów Zjednoczonych i Europie“

„Już od szeregu przeszło lat polityka europejska pozostaje pod dominującym wpływem Stanów Zjednoczonych. Poczynając od r. 1917 były one arbitrami sytuacji światowej. Sprzymierzeni potrzebowali ich pomocy, aby zakończyć wojnę i wygrać ją, przyjęli ich koncepcję przy normowaniu pokoju, a teraz szukają z większym uporem, niż powodzeniem, ich współpracy dla zażegnania ruiny naszej cywilizacji, zagrożonej przez komunizm, powszechne ban-

kructwo, wojny narodowe i upadek moralny. Każdy miesiąc, który upływa, czyni sytuację coraz bardziej krytyczną i daje Europie coraz mocniej odczuwać konieczność wynalezienia nowych zasobów i pozyskania współpracy Nowego Świata. Rozbrojenie, długi międzynarodowe, Liga Narodów, statut dla Turcji, uznanie Rosji — żadna z tych kwestji nie da się rozwiązać bez tego, aby Stany Zjednoczone wzięły w tem udział i to udział dominujący. Ale czy Stany Zjednoczone zechcą wziąć ten udział, czy zechcą przyjść z pomocą? Autor wyżej wymienionego artykułu, zdradzającego dokładną znajomość stosunków amerykańskich, sądzi, że Ameryka chce przyjść z pomocą Europie i że kiedyś uczyni to z całego serca, gestem wspaniałym i szerokim, jak wówczas, gdy wzięła udział w wojnie, ale dziś okrutne nieporozumienie dzieli dwa światy: Europa nie zna Ameryki, fałszywie tłumaczy jej czyny i motywy, Ameryka nie zna Europy. Ameryka przedewszystkiem nie rozumie, że Europa to — mozaika narodów, którą stworzyły trzydzieści wieków wojen i życia duchowego. Ameryka bierze Europę jako całość, jako jeden organizm, cierpiący i wytracony z równowagi, organizm, który potrzebuje — złączenia rozbitych członków i skoordynowania ruchów.

Francja, Belgja, Włochy, Austria, Jugosławja, Polska, Rumunja, Bułgarja, Grecja, Czechosłowacja i Niemcy, wszystko to w oczach amerykańczyka jedna Europa oszalala i nieszczęśliwa, pogrążona w anarchję i niemoralność. Wyjście z tej anarchji, według pojęć amerykańskich, zgodnie z ideą federacji, głęboko zakorzeniona w umyśle amerykańskim, jest jedno tylko — utworzenie Stanów Zjednoczonych Europy na wzór Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej.

„Niepowstrzymany prąd, — pisze p. Bernard Fay, — unosi Stany Zjednoczone ku temu federalizmowi światowemu, który jest wynikiem ducha narodowego amerykańskiego i warunków ekonomicznych współczesnego świata. Ten proces światowej federacji może pójść dwiema drogami: drogą utworzenia związku narodów anglo-saskich, które zajęły by panujące stanowisko we wszechświecie (zaczątkiem takiej koncepcji jest umowa morska w Waszyngtonie) — lub drogą utworzenia ogólnego związku wszystkich państw. W pierwszym wypadku, — powiada autor francuski, — stracilibyśmy stanowisko wielkiego mocarstwa. Ale taka ewentualność wydaje się mało możliwą, Stany Zjednoczone niechętnie zgodzą się na związek z dawną metropolją, jeżeli by ta chciała grać rolę dominującą w tym związku, a Anglii nie uśmiecha się wcale porozumienie, w którym przodujące stanowisko zajęła by Ameryka. Równość zaś w takim związku była by trudną do osiągnięcia. Więcej prawdopodobną wydaje się zatem francuskiemu publicyście druga hipoteza.

Autor cytowanego artykułu utrzymuje, że i sprawę długów Ameryka rozpatruje pod kątem widzenia swego ideału narodowego i pojęć etycznych. Uczciwość i dotrzymanie umów jest w oczach amerykańczyka niezachwianą podstawą życia społecznego, niepłacenie długu jest czynem niemoralnym, ale z tego nie wynika, aby

nie należało przyjść z pomocą tym, którym trudno dotrzymać zobowiązania. Ale pomoc tę amerykańczyk wyobraża sobie inaczej, niż my.

Po ukończeniu wojny o niepodległość Północnej Ameryki poszczególne stany były obciążone długami, otóż centralny rząd nowopowstałej federacji przejął te długi, uwalniając od nich poszczególne stany. Tylko w ten sposób, zgodnie z amerykańskimi pojęciami można załatwić i sprawę długów międzynarodowych z wojny światowej. A więc federacja, albo bankrutwo.

Żądania zaś „bankrutów“, aby prosto skreślono ich długi, wywołują w Ameryce oburzenie albo drwiny.

Zdaniem autora mylny jest pogląd, jakoby Amerykanie nie interesują się polityką zagraniczną wogóle i Europą w szczególności. Rząd centralny Stanów Zjednoczonych, właściwie dla polityki zagranicznej i istnieje. Europę interesują się bardzo Amerykanie, ale nie znają jej i nie rozumieją. Ale i my, Europejczycy, nie znamy i nie rozumiemy Ameryki.

Wyobrażamy sobie Stany Zjednoczone jako jedną całość. Tymczasem Stany Zjednoczone, chociaż są bardzo zcentralizowane ekonomicznie, nie są jednolite. Należy rozróżnić przedewszystkiem trzy strefy geograficzne: wschód z New-York'iem na czele, zachód z Sanfrancisko i pas środkowy, kontynentalny. Wschód amerykański, najwięcej z przemysłem i handlem i tradycjami związany z Europą bardzo się nią interesuje, Zachód odwrotnie, daleki od Europy, interesuje się sprawami Oceanu Spokojnego i Japonją. Rolnicze centrum najwięcej objęte na sprawy zagraniczne, najwięcej dba o niemieszanie się Ameryki do spraw obcych.

Następnie pod względem politycznym należy rozróżnić trzy sfery: wyższa, do niej należy bogata burżuazja i inteligentne zawody z wyższem uniwersyteckiem wykształceniem, ją reprezentuje Wilson w polityce; średnią (mniejsza burżuazja, robotnicy, rolnicy), tej przedstawicielem jest Harding i wreszcie najniższą, którą stanowią rasy niebiałe, a zatem świeżo przybyli emigranci nie władający językiem angielskim, najwięcej upośledzeni ekonomicznie, tę warstwę reprezentuje senator Borah.

Tendencje tych warstw są oczywiście rozbieżne, ale na ich opinie w sprawach polityki zagranicznej ogromny wpływ wywierają wielkie dzienniki, które obsługują cały kraj i starają się urabiać opinie polityczną nie za pomocą artykułów i odezw, ale za pomocą informacji. Pod wpływem prasy, robiącej coraz to nową sensację, rozpraszającej uwagę całego kraju dziś jednym tematem, jutro drugim, kształtuje się opinia amerykańska, która wciąż jest w stanie płynnym.

JĘZYK CZY GWARA?

I.

Krótki zaledwie okres czasu dzieli nas od minionej doby, kiedy społeczeństwo polskie, pod grozą wynarodowienia, wyteżać musiało swe siły w obronie ojczystego języka, stale wypieranego przez zaborców z należnych mu dziedzin. A jed-

nak dziś, po upływie niespełna lat czterech od wskrzeszenia naszej niepodległości, gdy język nasz odzyskał swe prawa, stwierdzić można, że czystość jego jest obecnie więcej niż kiedykolwiek zagrożona.

I to nie na Kresach, Pomorzu lub w Wielkopolsce, mozołnie otrząsających się z pokostu niemieczyny, lecz i w innych dzielnicach, zwłaszcza w stolicy kraju. Czy to w mowie potocznej, czy na mównicy, czy w piśmie lub druku, język nasz, zachwaszczony błędami gramatycznymi, uchybieniami przeciw składni, coraz to bardziej nasiłakający zwrotami i wyrazami obcymi, upodabnia się do jakiegoś żargonu czy też esperanta.

Zjawisko to nie uszło czujnej uwagi językoznawców i wybitnych pisarzy. Pozostawiając powołanym ku temu dalszą z tem złem na właściwej drodze walkę, pozwalamy sobie rzucić garść spostrzeżeń na jeden tylko przejaw tego smutnego zjawiska, mianowicie na zniekształcenie naszego języka przez nadużywanie wyrazów obcych, to jest makaronizmów.

II.

Już w samym zaraniu tak zwanej „rozbudowy” państwowości polskiej dała się wyczuć jakaś niczem nie wytłómaczona wstydlivość, jakby lęk i powątpiewanie ze strony miarodajnych czynników, czy aby nazwy urzędów, godności i urzędzeń państwowych, z rodzimego zaczerpnięte słownictwa, mogą zapewnić im należyty blask i powagę. Upředzenia były tak silne a obce wzory tak bliższe pamięci, że przeważyły na szali.

Przywrócono wprawdzie staropolską nazwę dla województw i starostw, jak również wojewodów i starostów, pomimo nietajonej niechęci pewnych żywiołów, upatrujących w tem groźbę zakusów wstecznicstwa. Lecz kiedy chodziło o godność najwyższego dostojnika Rzeczypospolitej, przyjęta pierwotnie nazwa „naczelnika państwa”, jako swojska a tem samem zbyt skromna, ustąpić musiała obcej — „prezydenta”.

Z tych samych pobudek izbę wyższą sejmu nazwano senatem; dla nowotworzonych zarządów władz przyjęto mile wpadające w ucho nazwy: ministerstw, departamentów, dyrekcji, komisariatów, sekcji, inspekcji, inspektoratów, prezydentów, biur prezydjalnych, ekspozytur; na czele ich stanęli: ministrowie, prezesi, prezydenci, komisarze, dyrektorzy i wice dyrektorzy, szefowie sekcji, inspektorzy i t. p. Urzędnicy państwowi noszą miano „funkcjonariuszów”. Taki naprz. „funkcjonariusz”, który w dawnych polskich urzędach zwany był „urzędnikiem do pisma” — obecnie został „kancelistą”, dozorca składu — „magazynierem”, goniec — „kurjerem” (izba wysyłkowa naprzykład nazywa się „ekspedycją kurjerską”). Według krążących obecnie pogłosek, urzędnicy mają ponadto otrzymać odpowiednie tytuły, w rodzaju referendarzy, sekretarzy, assessorów, oficyalów, adjunktów i rejestratorów...

Dawne polskie nazwy: zarządów, wydziałów, oddziałów, tudzież zarządów, zarządzających, kierowników odrzucono na strych, do składu starych rupieci... Używa się jeszcze polskiej nazwy dla poselstw i posłów, zaznaczyć jednak wypada, że do dobrego tonu należy mówić i pisać: „legacja” lub „misja”, skoro nie mamy dotąd ambasad i ambasadorów. Jako objaw niezwykłej skromności, sprzecznej z duchem czasu, warto zaznaczyć, że stróż kamieniczni, niedawno przemianowani na

„dozorców domu”, pogodzili się z tym skromnym tytułikiem, nie zgłaszając roszczeń do miana „portjerów” lub „konsierżów”...

III.

Luźne te uwagi dotyczą tylko ozdób, obcym blichtrzem wieńczących szczyty zrębów naszych państwowych urzędzeń. Lecz co ma donioślejsze dla nas znaczenie, to język, w którym się w nich pisze i przemawia.

Jeżeli w przytoczonych poniżej próbkach pozwalamy sobie na pewne przejawienie wiarogodnych potworności, to pobudki, które nas ku temu skłaniają, są aż nadto zrozumiałe.

Oto naprzykład urywek z przemówienia, wygłoszonego na posiedzeniu jednego z urzędów spraw wewnętrznych:

„W konsekwencji dyskusji nad propozycją, sformułowaną przez delegata biura prezydjalnego prezydjum rady ministrów i precyzując rezolucję, wyniesioną na plenum poprzedniej konferencji, w której paracytował reprezentant tutejszej ekspozytury komisji delimitacyjnej i likwidacyjnej, proponuję adoptować, z pewnemi korekturami i modyfikacjami, preliminarz budżetowy oraz cyrkularz o unifikacji a zarazem redukcji oduosnych agend administracyjnych...”

By oddać myśl i treść tego przemówienia, posługując się wyłącznie czystopolskimi wyrazami, język nasz jest stanowczo za ubogi...

Nasza dyplomacja wyrobiła sobie odrębny swoisty język, nie zawsze może zrozumiały dla niepoświęconych w tajniki zawodu, lecz widocznie lepiej odtwarzający „finezję subtelnych negocjacji”, niż ten nasz rodzimy, tak gminny i chropawy; stwierdzić to może urywek ze sprawozdania kierownika pewnej naszej zagranicznej placówki:

„O naszym désinterressement w aktualnym konflikcie notyfikowałem już radcy legacyjnemu X., pełniącemu funkcję chargé d'affaires per interim i akredytowanemu przy rządzie republiki semigalskiej. Zadeklarował mi on niemniej, że definitywna désygnacja kandydata do międzyaljanckiej komisji reparacyjnej tak długo nie będzie zrealizowana, dopóki ingerencja oficjalnych naszych agentów na plebiscytowanym terytorjum będzie kontynuowana dłużej.

„Ratyfikacja negocjowanej konwencji, którą mi sygnalizowano depeszą, wymaga efektywnej kolaboracji kompetentnych i zainteresowanych ressortów, gdyż inkryminowane nam fakty w opinji kontrahentów uważane są za junctim i to pomimo moich suggestji w nocie werbalnej. Kilkakrotne moje urgensy piśmienne nie sprowokowały też rezultatów, co konstatują zresztą informacje, otrzymane od autorytatywnych organów, które przy niniejszem jako aneks do „wglądu konfidencjonalnie komunikuję...”

Gdzieś w zapadłym kącie obczyzny kilku rodaków taką otrzymało odpowiedź z pewnego naszego konsulatu na skutek podania o przyjęcie ich do obywatelstwa polskiego:

„Prolongata terminu opcji koliduje z restrykcjami traktatu, klauzury którego stykają kompetencje delegacji repatriacyjnych oraz obligacje optantów. Dokumenty petentów zwraca się dla należytego zalegalizowania.“

Nie mogąc w żaden sposób wyrozumieć treści długo a niecierpliwie oczekiwanej odpowiedzi, „petenci“ musieli przedsięwziąć uciążliwą podróż do odległej parafji, gdzie dopiero proboszcz treść jej po polsku im wyłożył. Jak to niedobrze jest czasami nie znać dyplomatycznego języka!

* * *

Urzędy oświecenia publicznego i wyznań religijnych w Małopolsce zwykły też przemawiać jakimś średniowiecznym językiem, bo oto w jednej z gazet krakowskich czytamy takie zawiadomienie:

„Absolwenci gimnazjów, abiturjenci i frekwentanci kursów maturalnych oraz wyższych kursów pedagogicznych, uniwersytetów po złożeniu rygorozów, mogą fakultatywnie konkurować o redukcję taks charakteru lokalnego, prócz matrykulacyjnych i habilitacyjnych...“

Również i inne małopolskie urzędy strzegą troskliwie tej wykoszlawionej gwary, stanowiącej spuściznę po cesarsko-królewskich rządach. Uzyskała ona nawet prawo obywatelstwa w głównych zarządach kraju: taka np. ustawa służbowa dla urzędników państwowych uzyskała miano „pragmatyki“, a według niej dziela się oni na „funkcjonariuszów stabilizowanych lub kontraktowych“. Takich i tym podobnych dziwolągów możnaby przytoczyć tysiące.

Objawy te zdają się zwiastować powrotną falę stylu, makaronicznym zwanego, który tak ujemnie zaciążył na piśmiennictwie polskim XVI i XVII wieku.

IV.

Piętnując powszechną w tej dobie dążność do używania wyrazów obcych, Łukasz Górnicki w swym Dworzaniu Polskim, wydanym w roku 1566, poświęcił jej cały rozdział p. t. „O gracji w mówieniu i pisanii“, w formie rozmowy między panem Kryskim i Myszkowskim:

— Pan Kryski rzekł: „Nasz Polak, by jeno kęs z domu wyjechał, wnet nie chce inaczej mówić, jedno tym językiem, gdzie troszkę mieszkał; jeśli był we Włoszech, to za każdym słowem signor, jeśli we Francji — to par ma foi, jeśli w Hiszpanji — to nos ostros cavaglieros... aby swego języka grubość a obcego piękność pokazał“.

Tu pan Myszkowski powiedział: „Tedy się to walszkości nie podoba, kiedy Polak bierze w polszczyznę obce słowa?“

— „Nie ma się co podobać, odparł pan Kryski, kiedy kto mając swe własne polskie słowo, zarzuciwszy ono, pożyczka na jego miejsce z cudzego języka. Prawda jest, gdzieby słowa polskiego nie było na tą rzecz, którąby Polak ochrzcić miał, albo w przetłumaczeniu z jednego języka na drugi potrzebował cudzego słowa, nie tylko tego nie ganie, kiedy z tak podobnego mowie naszej języka, jakim jest czeski, weźmie słowo, ale też i z łacińskiego, zwłaszcza, jeśli by łatwe ku zrozumieniu, albo utarte słowo było, wzięź mu dozwalam.“

Także podobno nasze wymówce polscy sławni czynili, czego nie rozumiejąc dzisiejszy z onegoż wydwarzania (wymuszoności), które tak barzo

człowiekowi nie przystoi, przyszło im na to, że jeśli niewstydliwie w swój język kłaść dziwne słowa cudzoziemskie, a miasto wyborynych słów polskich stawiać czeskie, daleko niż nasze podlejsze. Zatem to idzie, iż tych nowych Cyceronów mało rozumiemy, a tego prosto nie, co nam kiedy na piśmie podadzą. I mniemają oni, by to był największy rozum tak mówić, albo tak pisać, jakoby mało ludzi, albo żaden nie rozumiał...“

Te tak trafne a z serca płynące słowa znakomitego pisarza XVI wieku wyczerpują wszystko, co w tej przykłej sprawie chciałoby się obecnie powiedzieć, z tem wszakże zastrzeżeniem, że piętnowane tu objawy w niektórych tylko dziedzinach występują z taką jaskrawością. Przytoczone powyżej zarzuty nie tyczą się np. naszego sadownictwa, które zdążyło już nawiązać zerwane pasmo świetnych swych tradycji; takie np. Orzecznictwa Najwyższego Sądu, mowy wybitnych członków palestry mogą służyć za wzór najczystszej polszczyzny.

Nie brak też innych pocieszających objawów: Ministerjum Kolei Żelaznych powołało do życia komisję językową, która opracowuje słownictwo zawodowe dla kolejnictwa polskiego a ponadto w wydawanym stale Okólniku Językowym tępi zboczenia językowe i daje stosowne wskazówki podwładnym urzędom; przykład ten zasługuje na szersze stosowanie.

W kościołach katolickich i ewangelickich w Polsce rozbrzmiewa jak dawniej piękny język, którym głosił słowo Boże ongi Skarga.

Pomijając szczerze na szczęście grono naszych futurystów i nowatorów z pod znaku Skamandra, których natchnienie stoi na jednym poziomie z językiem, zbliżonym do bełkotu, w piśmiennictwie współczesnym nasi pisarze i uczeni snują dalej złotą przędzę myśli w języku godnym wielkich swych poprzedników.

Zło wszakże pełni się bujnie w innych dziedzinach, o których zamilczeć trudno.

V.

Zbyt trudnem byłoby zadaniem w szczupłych granicach ulotnych spostrzeżeń i nie nużąc przytem cierpliwości czytelnika zobrazować w całej pełni potworności językowe w różnych dziedzinach życia. Spróbujmy zatem zacieśnić krąg naszych spostrzeżeń do zwierciadła, które najwierniej odbija współczesne społeczeństwo — a mianowicie do prasy codziennej. Nie bez pewnych w każdym razie zastrzeżeń i, powiedzmy szczerze — i nie bez wahania.

Według jednych — gazety nie są wydawane dla tych, co je czytają, lecz dla tych, co mają im coś do powiedzenia i do narzucenia. Że zaś szerszy ogół niewiele co więcej czyta prócz gazet, przeto prasa ma wszechwładny wpływ nie tylko na ukształtowanie się stosunków społeczno-politycznych, lecz urabia również smak, modę i język.

Zdaniem drugich, prasa codzienna — to tylko potwornie wybujały, wyolbrzymiony przerost chwili bieżącej; gazeta — to niewolnik swych czytelników — zarówno tych, których już posiada, jak i tych, których zdobyć dla siebie pragnie. Myśli przez prasę rozsiewane, język, którym przemawia, są dostrojone do umysłowego poziomu tłumów.

Odrzucając to co trąci przesadą w obydwóch powyższych tak sprzecznych z sobą poglądach,

oraz podnosząc w stosunku do polskiej prasy wysokie jej zasługi w służbie publicznej w latach niewoli, ośmielamy się jednak stwierdzić, że nie tylko obecnie nie stoi ona na straży czystości języka, lecz przeciwnie ku jego skażeniu największą się przyczynia.

Przeciętny czytelnik, stale i sumiennie zgłębiający dział polityczny w tej lub innej bez różnicy kierunków gazecie, oswoił się już całkowicie i nawet nie wzdygnie się, odczytując tego rodzaju polszczyznę:

„Korespondenci tendencyjnie inspirowani przez Foreign Office nie zdołali stuszczać w swych komentarzach sensacyjnego speechu angielskiego premiera na bankiecie w Mansion House. W tej spontanicznej enuncjacji dominują akcenty źle maskowanej animozji pod adresem Małej Ententy, a jej agresywny ton kontrastuje z programem pacyfistycznej polityki, zainaugurowanej na konferencji w Monte Carlo.

„Po bankructwie militarystyczno-imperialistycznych koncepcji państw centralnych dziś opinię publiczną europejskich demokracji absorbują ekskluzywnie problemy ekonomiczne i reformy socjalne, paralelnie z postulatami natury nacjonalistycznej, insynuując p. Lloyd George, i nikt tego demontować nie będzie...“

W przytoczonym urywku na 80 wyrazów połowa jest obcych i to takich, które mogłyby być zastąpione śmiało ich polskimi odpowiednikami. Są jednak dziennikarze, którzy potrafią stosunek ten podnieść do 65% i wyżej.

* * *

Czytamy dalej:

„W kuluarach sejmowych, po skandalicznym incydencie na ubiegłej sesji, obserwować można konsternację leaderów ugrupowań partyjnych tudzież grawitację do rekonstrukcji gabinetu przez blok frakcji prawych z centrolewem, gdzie obok konserwy krakowskiej, chadecji — heroldowie reakcji fraternizują z agitatorami socjalnej rewolty.

„Tylko ta nasza indolencja, ta passywność w reagowaniu na eksperymenty demagogiczne oraz ten enigmatyczny oportunizm sfer pseudo-liberalnych pozwala na tolerowanie tej destrukcyjnej toksyny, która w ewentualnym kryzysie grozi pariamentaryzmowi atrofją“.

W przekładzie polskim przytoczony urywek otrzymałby, przypuścimy, takie brzmienie:

„W kruzgankach sejmowych, po gorzącym zajściu na ubiegłym posiedzeniu, można zauważyć osłupienie przywódców skupień stronnictw tudzież ciężenie do odbudowy gabinetu w drodze zrzeszenia się odłamów prawicy z lewicą i środkiem, w którym obok zachowawców krakowskich, chrześcijańskiego stronnictwa ludowładztwa — zwiastuni wsteczniactwa bratają się z podżegaczami do społecznego przewrotu.

„Tylko ta nasza gnuśność, ta bierność w odpieraniu demagogicznych doświadczeń oraz ta tajemnicza ustępliwość warstw wrzekomo liberalnych pozwala na znosze-

„nie tej niszczącej trucizny, która przy możliwym przesileniu grozi zamarciem parlamentaryzmu.“

Czeigodny profesor Kryński mógłby, dajmy na to, dać stokroć lepszy przekład, niż powyższy, lecz sprawozdanie z posiedzenia sejmu, w czysto polskim brzmieniu, straciłoby tę soczystość okraszoną europejskim pokostem, tak drogą naszym dziennikarzom.

A oto urywek z listu, otrzymanego przez redakcję od swego sprawozdawcy z Paryża, który w tych słowach ocenia współczesną poezję w państwie sowieckim:

„Po katastrofie, która nawiedziła imperjum rosyjskie, intelektualni herosi jego wyemigrowali. Oficjalną poezję reprezentują w niej futuryści i inni adepci zdegenerowanej sztuki, którzy interpretują swą abstrację kakofonią sylab i w onomatopejach parabolicznych.

„Ich poezja — to blasfemja, kalumnia i neurastenja, nie znająca praw metryki i elementarnego rymu. Chramy poezji stały się tam terenem bachanalji a orgjastyczne ich emanacje świadczą tylko o kompletnej prostracji psychiki sowieckich bardów...“

Największe świeczniki naszego piśmiennictwa długie lata były zmuszone przebywać na wychodźstwie, byli tacy, jak np. T. T. Jeż (Zygmunt Miłkowski), co całe życie od wczesnej młodości do sędziwej starości przeżył na obczyźnie, a wzbogacali mimo to piśmiennictwo arcydziełami, pisanymi w czystej polszczyźnie.

Dziś, gdy siaki taki dziennikarz przebędzie z rok poza krajem, pozwala sobie pomiatać rodzimym językiem, niby wiechciem, i to w drukowanym słowie!

Szczególną namiętność do znęcenia się nad nim ujawniają sprawozdawcy gazet w dziale giełdowym i gospodarczym. Co się zaś tyczy sportu, niewtajemniczeni tylko drogą mozołnych a kosztownych dociekań doświadczalnych mogą posiadać tę odrębną gwara, przyczem znajomość choćby bardzo powierzchowna angielszczyzny jest tu niezbędną.

Nie pozostają za nimi w tyle sprawozdawcy z działu wiadomości bieżących i brukowych a zwłaszcza tłumacze depesz zagranicznych. Daremnie byłoby ich przekonywać, że zamiast takich wyrazów obcych, jak np.: likwidacja strajku, katastrofa elementarna, nawigacja, bandytyzm, aprowizacja, assekuracja, defraudacja i tyśiące tym podobnych „acji“, „izmów“, „entów“ można używać polskich, jak: zakończenie bezrobocia, klęska żywiołowa, żegluga, rozbój, zaopatrzenie, ubezpieczenie, sprzeniewierzenie i t. p....

Jest to nałóg nie do wykorzenia.

A co powiedzieć o dziale ogłoszeń? Robi on wrażenie jakiegoś cmentarzyska, gdzie szczątki języka polskiego w okresie ostatecznego zaniku bieleją jak kości, zasypywane przez wichry z Wschodu i Zachodu śmieciem obcych a barbarzyńskich naleciałości. Pobieżny nawet przegląd tych potworności zaprowadziłby nas zadaleko. To, co poprzednio zaznaczono, jest chyba aż nadto wystarczającym na poparcie naszych wywodów.

Jeżeli redakcje gazet nie uruchomią bezwzględnie czegoś w rodzaju pogotowia językowego,

zadaniem którego byłoby uprzednie odchwasczenie rękopisów przed przekazaniem ich do druku, czytanie ich nietylko będzie przykrością dla miłujących ojczysty język, lecz przyczyniać się będzie do całkowitego skażenia go a to z uwagi na tych, dla których gazeta stanowi jedyną duchową strawę.

Prasa codzienna jest zbyt potężnym mocarstwem, żeby nie była w możności powzięcia stosownych potemu środków, choćby to groziło wprowadzeniem swego rodzaju uprzedniej cenzury językowej. Jeśli stać nas na wyrzucanie setek milionów marek na walki wyborcze, warto poświęcić coś także na walkę w obronie tego, co o istnieniu nas, jako narodu, stanowi.

Teodor Umiński.

Z ŻYCIA MŁODZIEŻY.

Naprawa Rzeczypospolitej Młodzieży.

Jakkolwiek nie ulega wątpliwości, iż wszystkie bez wyjątku organizacje młodzieży, czy to kademicznej, czy szkolnej, winny być apolityczne, to jednak trudno jest usunąć momentalnie związki młodzieży o charakterze polityczno-społecznym, a na ich miejsce powołać do życia kluby dyskusyjne lub stowarzyszenia etyczne. Na to trzeba długiego czasu. Zresztą radykalna zmiana nie mogłaby przynieść pożądanego skutku, bo do tej zmiany trzeba grunt przygotować, trzeba usunąć pokutujące jeszcze dotąd wśród młodego pokolenia mylne mniemanie, iż ideologia jego musi na pierwiastkach polityczno-społecznych opierać się.

To też pragnę omówić poniżej palącą kwestję apolityczności kół naukowych, oraz instytucji samopomocowych młodzieży, która stała się w chwili obecnej bardzo aktualna. Dla każdego, kto sprawę obiektywnie rozpatruje, jasną jest rzeczą, iż stowarzyszenia te, grupujące całą młodzież, nie mogą mieć żadnego zabarwienia czy to politycznego czy społecznego, bo to doprowadziłoby do powstania kół naukowych centrowych, lewicowych i prawicowych, a być może nawet do tego że każde potężniejsze ugrupowanie młodzieży zapragnęłoby mieć swoje własne organizacje naukowe i samopomocowe. Doprowadziłoby to do zaniku jakiegokolwiek pracy pozytywnej.

Dając wyraz temu zapatrywaniu, najwyższa władza akademicka — ogólnokrajowy zjazd, który odbył się ostatnio w Wilnie, uchwaliła, iż niedopuszczalne są wszelkiego rodzaju „walki o wpływy prowadzone przez organizacje ideopolityczne na terenie bratnich pomocy“, zajmując analogiczne stanowisko co do kół naukowych.

Tymczasem co się obecnie dzieje? Oto ugrupowania ideopolityczne używają terenu bratnich

pomocy i kół naukowych do szerzenia swych hasel: Zjazd Wileński uchwalił, iż członkiem koła naukowego może być każdy akademik a członkiem bratniej pomocy każdy Polak — niektóre instytucje, o jakich wyżej wspomniałem, uchwałyły wykluczenie ze swego grona kolegów z powodu ich wyznania. Jest to może bardzo racjonalne, słuszne i konsekwentne ze stanowiska ideologii organizacji stawiającej ten wniosek, lecz nie można wymagać, by cała młodzież podobnymi kategorjami myślała.

Wszyscy więc inaczej myślący zmuszeni są do walki, która przecież jest zabójczą, jako zużywająca całą energję i niepozwalająca na prowadzenie pozytywnej pracy.

Położenie jest fatalne.

Ostatnio, w związku z powyższą między innymi kwestją, powstał rozłam w Komitecie Wykonawczym Zjazdu Wileńskiego.

Nowa walka! I tak bez końca!

A o pracy realnej wszyscy zapominają.

Należy pomyśleć o naprawie stosunków: pierwszym jej etapem byłoby utworzenie bloku organizacji, które pragną w czyn wprowadzić uchwały Zjazdu Wileńskiego i bronić społeczność od chaosu, który w niej zapanował.

Miejmy nadzieję, iż to się uda i przy najbliższych wyborach na ogólnokrajowy zjazd polskiej młodzieży akademickiej, mający tym razem odbyć się we Lwowie, blok ten osiągnie taką liczbę mandatów, iż będzie mógł zabezpieczyć praworządność Rzeczypospolitej akademickiej.

Co do gruntu szkolnej sytuacji przedstawia się znacznie lepiej. Tu rej wodzą organizacje apolityczne, a ściślej mówiąc, stanowisko dominujące zdołała osiągnąć Organizacja Polskiej Młodzieży Niezależnej.

Zjazd Związku Samopomocy Uczniowskich, który odbył się 6 b. m., dał dobitne świadectwo, iż młodzież szkolna nie bierze przykładu z rozpolitykowanych akademików i że pragnie ona zdala od waśni partyjnych pracować w swych samopomocowych i samokształceniowych instytucjach.

Zjazd, o którym wyżej wspomniałem, zgromadził delegatów ze wszystkich stron Polski. Wszyscy oni zajęli zdecydowane stanowisko wobec rozpolitykowanej grupy, która, widząc się w bardzo nielicznym gronie — opuściła salę obrad. Mała liczba secesji, brak moralnego kredytu jej przywódców u ogółu nie pozwolił jej na prowadzenie jakiegokolwiek akcji.

Można więc ze spokojem spojrzeć w przyszłość.

J. Życki.

„Gazeta Poznańska”

Codziennie pismo polityczne dla warstw średnich, broni interesów miast, oraz informuje o zagadnieniach kraju. Bogaty dział ekonomiczny z dodatkami Handel, Przemysł i Rzemiosło. Wydawnictwo Drukarni Mieszczańskiej. Tow. Akc. w Poznaniu. Adres: ul. Nowa Nr. 4 — 5.

„Praca”

Najstarszy i najtańszy tygodnik ilustrowany w Wielkopolsce. Piękne ilustracje. — Zajmujące powieści

Dział gospodarczo-kolejowy.

DO KOLEJARZY POLSKICH.

Artykuł ten złożył w redakcji rodak nasz, pracownik kolei żelaznych, który niedawno powrócił z Rosji Sowieckiej.

Przyp. red.

Nasi pracownicy kolejowi winni pamiętać, iż koleje żelazne są to krwionośne arterje, spełniające funkcje życiodajne, że koleje nasze tworzą w kraju nowe rynki, że gdzie przejdzie kolej, tam rzuca ona życiodajny pierwiastek kultury, dźwiga na barkach swych rozwój przemysłu w kraju i handlu, które są czynnikami postępu w ojczyźnie naszej.

A więc, czyż pracownik kolejowy nie odgrywa wobec państwa również zdumiewającej roli? Czyż więc świadomość tej wielkiej roli nie powinna dać siły jemu w znoszeniu trudnych warunków życia? Czyżbyśmy mieli tak mało hartu, rozumu i woli, że za lada podmuchem jakiego niezadowolenia lekkomyślnie zaczniemy rzucać warsztaty, by sprawy osobiste drogą strejku załatwiać.

Należy dobrze się rozejrzeć w tej sprawie. Należy zrozumieć olbrzymie znaczenie, jakie posiadają koleje żelazne w życiu naszej odrodzonej Polski i zastanowić się nad tem, jak nieobliczalne są skutki lekkomyślnych czynów. Niebezpieczne są usiłowania wprowadzania u nas w przyspieszonym tempie rajy socjalistycznego na ziemi.

Straszliwe mamy przed oczyma przykłady państwa Rosyjskiego.

W tym „raju“ nikt rajy nie doznał, nikt nie jest zadowolony, nikt nie jest szczęśliwy, prócz sfer rządzących, które terorem surowym fałszują wolę oddzielnych grup narodu. Doszło już do tego, że tak włościanie, jak i klasa robotnicza zaczęli rzucać głębokie westchnienia w dal przeszłości.

Jeżeli kiedyś w zarzewiu bolszewickiej-rewolucji — robotnik rosyjski głośno się zapisywał w poczet partji komunistycznej, to robotnik dzisiejszy, przeżywszy zaledwie lat kilka pod jarzmem władzy tej, głębokie rozczarowania swe szeptem złowieszczyni jaskrawo wyraża. Robotnik i chłop teraz dopiero zrozumieli, że rewolucja nie polega na masowych rozbojach i ruinie państwa, któreby z gruzów powstać nie mogło, że namaszczenie wysokiem mianem „Robotniczo-Włościańska Republika“ jest li tylko gorzką ironją.

Piszący te słowa niedawno, bo zaledwie przed paru miesiącami powrócił z Sowdepji do kraju i miał możność zbliżać się do stosunki panujące na kolejach. Niewesoły to obraz.

Kradzieże na kolejach codziennie się wzmagają. Kradną ładunki z wagonów, kradną najrozmaitsze towary i nie tylko poszczególnie, ale i całemi wagonami a nawet pociągami. Wszelkie kary i rozstrzały stosuje się z wielką surowością, lecz skutków pomyślnych nie odnoszą.

Stopień moralności obniżył się do minimum, z przyczyn pomiędzy innymi, że ludzie są głodni, a rządy niedoświadczone i nie oparte na podstawach logicznych. Sądzi, że rewolucja — to słowo magiczne, wszystko zdoła zrujnować i wszystko zbudować. Błędny był jednak ich sąd, błędni byli

ich czyny i dopiero po wprowadzeniu nowego kursu w polityce wewnętrznej zaczął się pewny i systematyczny odwrót ku staremu kursowi polityki carskiej już po uwypuklonem bankructwie bolszewizmu i po daremnych na razie próbach przeszczerzenia na grunt sowiecki kapitalizmu zachodniego.

Jako kolejowiec niedawno przybyły z owego rajy, uważam za niezbędne podzielić się myślami i wiedzą. Takaby niezawodnie was przyszłość czekała w kraju, jeśli byście nie stanęli w obronie umysłu waszego i duszy, jeśli byście się uwieśdali zgnitym, rozkładowym czynnikiem. Wszelkimi siłami należy walczyć z warcholstwem i pseudo-socjalistycznym, jak i z chuligańskim traktowaniem problemów socjalnych. Powinniśmy wszyscy prawdziwi synowie naszej odradzającej się Matki-Ojczyzny stanąć, jak jeden, do walki z ciemnymi siłami, które wielkość zdrowych idei tylko brużdżą i zaćmiewają, szkodząc sprawie pracujących warstw.

Pozatem, tak społeczeństwo nasze, jak i wyższe sfery kolejowe powinny czuwać gorliwie nad losem pracowników kolejowych. Bo pamiętać należy, że nie jest to zwykły pracownik, który po odbyciu swych godzin pracy idzie na spoczynek. Częstokroć nie zna on ani dni świątecznych, ani wypoczynku niezbędnego, ani określonych godzin pracy. Wciąż stoi na posterunku, niestęchanie odpowiedzialnym, wymagającym najwyższego napięcia nerwów i skupienia uwagi, w przekonaniu, że najmniejsze uchybienie, najmniejszy błąd nieobliczalne skutki spowodować mogą.

W ich rękę dobrobyt państwa, w ich rękę życie ludzkie spoczywa. Im się należy inny byt, inne warunki pracy.

Wobec tego, winniśmy zawsze dążyć do wyjednania dla nich nietylko polepszenia bytu materialnego w miarę sił i możliwości, aby poza obrobem swej pracy fachowej zaspakajając potrzeby duchowe mogli, aby życie rodzinne, kościół, literatura i sztuka obcemi im nie były i aby nie wywierali wrażenia wyciśniętej cytryny, którą się na śmietnisko rzuca.

J.

KRONIKA.

Niedobór naszych kolei.

Obliczenia przeprowadzone w Departamencie finansów ministerjum kolei żelaznych w porozumieniu z Departamentem budżetowym ministerjum skarbu co do oczekiwanych w r. p. wydatków eksploatacyjnych, bez inwestycji, wykazują przy uwzględnieniu dzisiejszych kosztów utrzymania oraz cen.

wydatków osobowych 310 miliardów marek
wydatków rzeczowych 300 miliardów marek.

Razem 610 miliardów mk., a ponieważ dochody obliczane są na 462 miljardy mk., więc w r. p. spodziewać się należy 150 miliardów mk. niedoboru i to pod warunkiem, że odtąd ani waluta nasza ani ceny zmianie na gorsze nie ulegną.

Przejazdy ulgowe kosztują rząd 108 miliardów.

W r. b. i w r. p. będą kosztowały 162 miljardy.

Według przybliżonego obrachunku koszt przejazdów ulgowych urzędników i emerytów kolejowych, ich rodzin i służby, urzędników pań-

stwowych i wojskowych wynosił w r. b. 108 miliardów mk.; w r. b. — po wprowadzeniu podwyżki taryf osobowych o 50 proc., suma ta wzrosła do 162 miliardów mk.

Kolejowy most na Sanie. Jest to jeden z najdłuższych mostów w Polsce, otwarty został w dn. 3 b. m.

Otwarty został zbudowany całkowicie środkami i siłami krajowymi — jeden z najdłuższych mostów w Polsce — most pod Rozwadowem na Sanie.

Most ów mieści się w historycznym dla Polski punkcie niedaleko wideł rzecznych, wideł Sanu i Wisły, gdzie w roku 1656 uwięziony był przez kilka tygodni wraz z całą padającą z niewyczasów armją swoją król szwedzki Karol.

Nowy most żelazny o czterech przęsłach zastąpi nam istniejący dotychczas na drodze Warszawa—Lwów mostw prowizoryczny na balach.

W uroczystym otwarciu wzięli udział przedstawiciele ministerjum kolei.

Sprawność kolei.

W grudniu roku ubiegłego zakończyły się na kolejach polskich masowe przewozy do cukrowni buraków cukrowych, których ilość w miesiącach największego napięcia przewozu wynosiła średnio dziennie (dzień kalendarzowy): w październiku 891 i w listopadzie 989 wagonów 15-tonowych, co w porównaniu do ilości przewiezionych w roku 1921 (383 wagony w październiku i 581 w listopadzie) stanowi wyżkę około 80 proc. Pomimo ogólnego braku taboru na kolejach polskich tak znaczny przewóz buraków w okresie najbardziej intensywnego ruchu we wszystkich dyrekcjach był dokonany bez opóźnienia i ku zupełnemu zadowoleniu zainteresowanych cukrowni, co z uznaniem zaznaczone zostało przez przedstawicieli cukrowni na ostatnim posiedzeniu komisji międzyministerjalnej dla podziału wagonów.

Reorganizacja inspektoratów drogowych i mechanicznych.

Istniejące w dyrekcji warszawskiej inspektoraty mechaniczne i drogowe zostały zniesione, a zamiast nich utworzone będą oddziały trakcji, na wzór organizacji, jakie istniały przed wojną.

Reorganizacja ma na celu redukcję personelu, a co za tem idzie i oszczędności.

Redukcja ta nie dotknie jednak urzędników, gdyż ci, którzy otrzymają zwolnienie, będą przeniesieni do innych biur.

Zniżenie taryf kolejowych w Anglii.

Taryfy osobowe na kolejach angielskich niższe będą o 25%. Wskutek tego podniesienie taryfy, które wynosiło w ciągu wojny około 100%, obecnie wynosi już tylko 50% w porównaniu z r. 1914.

ZJAZD.

W Nowym Sączu pod przewodnictwem Dyrektora Departamentu Ministerstwa Kolei Żelaznych Inż. Suchanka — odbył się Zjazd przedstawicieli wydziałów zasobów kolei państwowych, zwołany przez Ministerstwo Kolei Żelaznych.

Zjazd miał na celu ujednostajnienie gospodarki zasobowej na kolejach państwowych, rozpa-

trzenie wyników czteroletniej pracy w tym kierunku i określenie ogólnego programu na przyszłość, wreszcie ustalenie stosunku Dyrekcji do nowoutworzonego Centralnego Biura Zasobów.

Z uwagi, iż Zjazd dał bardzo dodatnie wyniki — przewiduje się, aby Zjazdy takie, mające na celu omawianie nadzwyczaj ważnych spraw gospodarki kolejowej, powtarzały się periodycznie w różnych miejscowościach Państwa dla zapoznania uczestników z przemysłem krajowym.

NIEPOKOJĄCY OBJAW.

Utartym z dawna zwyczajem, z początkiem roku poczyną się również godzenie służby rolnej po folwarkach, której termin kończy się 1-go kwietnia.

Dawniej, zwłaszcza wobec wędrowni „na Saksy“ było to dość trudnem, a ekonomowie i włodarze staczali nieraz dosłownie krwawe bójki po odpustach i jarmarkach, odmawiając sobie wzajem parobków.

Dzisiaj, pomimo wrzekomego panowania wolności i ochrony pracy — związków zawodowych i t. d. i t. d., całe procesje fernali i bab wszelkiego wieku obchodzą folwarki, szukając nadaremnie miejsca, które im wymówiono w poprzednim siedlisku.

Dość przyczyn składa się na ten niepożądany objaw:

1) Niezagojone dotąd skutki wojny wstrzymują rozwój gospodarki rolnej, redukując uprawę roli do najlepszych i najbliższych od podwórza szlaków i zmniejszając potrzebę rąk roboczych.

2) Nieracjonalnie stosowana reforma rolna kasuje częstokroć folwarki o wysokiej kulturze, pozbawiając zarobku miejscową służbę.

3) Zbyt skrupulatne stosowanie przepisów o ochronie pracy obrzydza pracodawcom trzymanie rocznych ordynariuszy — woła gódcie ogrodnarzy — lub sprowadzają jako sezonowców *rusinów*.

4) Również i opieka nad rodzinami powoływanych do służby wojskowej ma te ujemne wyniki, iż chlebobawcy wymawiają miejsce tym, którzy w następnym roku mają iść do wojska, ażeby uniknąć utrzymywania ich rodzin przez trzy lata.

5) Jednym z powodów przepełnienia rynku pracy rolnej jest również i to, że odpływ robotników do Francji i Niemiec jest ograniczony jedynie do wykwalifikowanych jednostek, emigracja zaś do Ameryki możebna jedynie dla nielicznych jednostek posiadających tam krewnych i utrudniona do niemożliwości.

6) Emigracja wewnętrzna do miast utrudniona jest brakiem mieszkań i drożyzną na bruku miejskim, na którym wieśniak wyrzucony z roli czuje się bezradnym i staje się ofiarą aferzystów miejskich. Słowem, sytuacja bez wyjścia — którą winne się zająć przedewszystkiem nasze partje ludowe.

Agricola.

Od Tatr do Bałtyku.

(Polska w podaniach poezji, i sztuce ludowej)

Pragnąc zwrócić współczesną twórczość polską ku źródłom rodzimym, a także chcąc dać możność kształcącej się młodzieży poznania, choć w części, nieprzebranych skarbów fantazji i uzdolnień artystycznych naszego ludu, polskie Tow. Miłośników Literatury urządza w sali Klubu Artystycznego, hotel Polonja (Jerozolimskie 39) cykl 5-ciu odczytów bogato ilustrowanych przezrociami najpiękniejszych okolic kraju, zabytków i typów ludowych.

Pierwszy odczyt wygłosi d. 19-go Stycznia. 8 w. poseł Antoni Langer:

„U źródeł polskiej legendy ludowej“.

d. 2-go lutego wygłosi odczyt, p. J. W. Kosmowska.

„Patryjotyzm polskiej poezji ludowej“.

d. 16-go Lutego p. Feliks Gwiżdż:

„Twórczość ludu podhalańskiego“.

d. 2 Marca p. Emilja Szukertowa:

„Legendy jezior mazurskich“.

d. 16 Marca Redaktor „Gryfa“ w Kościerzynie i przez. Tow. Przyjaciół Pomorza inż. Bąkowski:

„Twórczość ludowa na Kaszubach“.

Czasopisma nadesłane.

• **La Revue universelle.** 1-er Janvier 1923.
A. de Chateaubriant: La Brière. — Jacques Maritain: Luther et l'avènement du moi. E Beau de Lomenie. Une amie dévote de M-me Récamier: la duchesse de Montmorency. — Paul Le Faivre: Le désordre du monde et la société des Nations. — E. Lecoq et H. Hagel: L'Empire du monde (roman).

Les idées et les faits.

• **Le Monde Nouveau.** 1-er Janvier.
Jean Ajalbert. En Rhenanie: De Trèves à Coblenz. Constant Bourquin: Comment doivent écrire les philosophes? (II) (Ce qu'en pensent MM. André Lalande, membre de l'Institut, Pierre

Lasserre et Frank Grandjean, Professeur à l'Université de Genève.) Elie Baussart: La question linguistique en Belgique. Renée Dunan: Louis Artus, romancier. Dr. Fernand Merlin: Le problème du Féminisme (IV). Paul Louis Le declin de la Société bourgeoise. (IV).

En Supplément: La Separation des races (III). Roman inédit par C. F. Ramuz.

• **Belles-Lettres,** revue mensuelle des lettres francaises, Decembre 1922.

Treść: „Les sources de M. Claude Farrère dans Thomas l'Agnelet“ par P. Masse; „Un poète féminin: Henry Bataille“ par R. Sigl; „Le poète Jacques Noir“ par André Delacour; „Poèmes“ par J. Noir; „l'Humble tourment“ (nouvelle) par Georges Daird; Les poèmes et les romans“ par S. Ch. Leconte; „Les oeuvres dramatiques“ par André Dumas; „les oeuvres philosophiques: Un conte maçonnique de Goette“ par F. Baumal; „Les revues“ par Maurice Caillard; „le prix de Belles-Lettres“ par Dumesnil de Gramont; „Mon frane parler“ par M. Landeau; „Ce qu'il faut retenir“ par Les sept; Notes, documents et commentaires; „L'Idole inconnue (romans) par W. Chopard.

• **La Revue de l'Époque** Decembre 1922.

Treść: „Le grand XIX siècle“ par G. Sauvebois; Poème: „Vacances“ par A. Spire; „Un plan d'action“ par G. Benz; „Deux contes populaires russes“ par M-me de Holstein et René Ghil; „La tragédie Nr. 3“ par Canudo; „Foire“ (poème) par Loys Labèque; „Sir Thomas Morus, utopiste“ par Robert Lévy; „Le Salon d'automne“ par A. Schneeberger; les lettres et les arts en France; Les Ecobos eu marge.

Opuściły prasę i są do nabycia wszędzie najnowsze utwory

Sergo Kuruiiszwili

GWIEZDNY SZLAK (urywki)

z przedmową Zdzisława Dębickiego.

RÓŻE PIANE (poezje) z przedmową Tad. Konczyca.

ZALÉ (urywki).

Skład Główny: Księgarnia Gebethnera i Wolffa, Warszawa.

„S ł o w o“

Najpoczytniejsze i największe polskie pismo codzienne na Wileńszczyźnie

Adres: ul. Adama Mickiewicza 4. WILNO.

Prenumerata „Tygodnia Polskiego“ od 1-go Stycznia wynosi **miesięcznie 2000 mk., kwartalnie 6000 mk. za granicą podwójnie. Cena N: pojedynczego 600 mk.**
Conto czekowe P. K. O. Nr. 1750.

Cena ogłoszeń: cała strona 200.000 mk. $\frac{1}{2}$ str.: 100.000 mk. $\frac{1}{4}$ str. 50000 mk.

ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: WARSZAWA, ORDYNACKA 5 m. 4.
Redakcja otwarta od 5—7 wiecz.: w poniedziałki, środy i piątki; administracja od 9—2 pp.
codziennie — telefon 286-17.

Zastępstwo na Kraków i Małopolskę: „Ruch“, Kraków, ul. Szczepańska 9.

Wydawca: TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „ZJEDNOCZENIE“ Redaktor: Leon Kozłowski.

Druk. succ. T. Jankowskiego, Warszawa 1. Wspólna № 54, tel. 266-07.